

JAN WIKTOR.

GAZETKA LUBLINA.

CZĘŚĆ I.

NA TRAJKOTCE

PO PIASZCZYKĘ DRODZĘ.

Tak, to była przysta podór i długo zostanie mi w pamięci, a że już nikt nie zliczy przekleństw, jakie sypałem na *Gustawa Morelina*, który podburzył Lublinian, że tylko piszący te słowa może wygłosić odczyt o Śląsku Opolskim. Niechże mi ta wiadomość polizona do najcięższych grzechów, które nie zdolają obmyć wszystkie wody Oławy.

W krakowskim Orbisie objaśniono mnie, że ów pogię idzie, a później rozważającego się na miekkościach i klasy (trzyście narodziło tego pejszaj) konduktor zapewnił tak samo z niemieńską stanowczością niż tancerz. — A no, uwierzylem i najspokojniej wczes rano wlokłem się na *trajkotce* do drożd, wobec której każde gościnie podhalecki najbardziej rozbiti, krzyżcy skarby wyhoi może nosić zaszczytną nazwę: autostrada. Kola z trudem wgrzebywały się z czelności piasku, przesypując szmer jednolity pod sprężych. W czasie tych sensorych godzin marzyłem, że zaraz zmasa skoczę na stare miasto, zwiedzę wszystkie okoliczności, wyzskuję każdą chwilę. Przesunęły się obrzyd, osoby, zdarzenia, wspomnienia przeszłości przed oczyma.

Mijała ciemność. Wstawał poranek. Z mroku wytrysnęła w jednym miejscu różowa smuga i przekreśliła szare jezera nieba. Tak trwała, aż świat zbroczył sklepienie strumieni woda, w żarach poruszała początek dnia w najpiękniejszych barwach najwzajem obłoków urzekających patraczko. Przesłałem życie sobą, roztopiłem się w uroczach wachodu, w żarach purpury, w rozkwiecie słońca. Żyłek się myśli i uczucia były z jasnością, z jawiących się cudów.

POCIĄG, KTÓRY NIE CHODZI W NIEZDZIELĘ.

Mała stacyjka spala snem Bogu ducha winnego. Ani jednego głosa, żadnego ruchu. Ten bezkosztowy spokój musiał napieścić złem przesoczenie. Minęła godzina 5:28, oznaczająca przyjęcie obywatycznego pocingu, a żaden głos się nie odezwał, minuty odrywały się jak odlamki skały, grzmocno pytaniem. Co to jest! Połączym niema.

Opatrzona wiołatemem się w sieni, poczekalni, biem pieściami w ścianach drzwi, aż skądś obudził się zasnany głos, wrzeszcze zawiadawco, zapinające urzędowy mundur, pytał o szac, dla czego wyprawiam awantury. Coś mówię, belkocze, że w poludnie mam wygłosić odczyt o Śląsku Opolskim, pokazuje zbawczą legitymację I. K.

C. — A to co innego. Czytający zmieniony jest w uśmiech i żyweliwo. No, ale krótko oznajmił, owsem, owsem, owsem nie pogię kursowe, najgłębiej kursuje przez cały tydzień z *wyjątkiem niedziel*, a dzisiaj właśnie niedziela. Istotnie tak. Ażby okulał na wszystkie kolo przez cały tydzień. Każde słowo było grzmotniecm obuchem siekiery. Co teraz będzie! Błagam, aby zatelefonoval, aby oznajmił Zwiżskowi Zachodniemu, że tu zamierzam tkwieć. Krecił korbą, krzyczał z całym zapalem w czeluście skrzybi wiszącej na ścianie, a mającej być telefonem. Wówczas zdrutnolony niezrozumieniami wiadomościami uważałem że skrzyżna za cud nowocześnieści, teraz myśle, że ten grat już w arce Noego byłby



Przydrożna kąpieliska
św. Jana Nepomucena.

oobliwocność, godna niewiasty. Wkroczył po krzykach wtrącających czegidnemi ścianami bogobojnej stacyjki błoga wiadomości: wysłał takową do Zaklikowa. Utkrzyżony zdolnością skoczyłem do dzinrowego półkoszka i wrzasnąłem:

PIASKU I WODY — NIE BRAK.

— No, walczy co się w kopytach szkapiny i w kołach woźca.

Woźnica z rozmaczem śmignął białem, aż kobylina zatrzęta uszami i bokiem sernkela z pewnem zdziwieniem, aż wrony rozmadły dźwięk ucha do ucha, ubawione pierwszorzędem widowiskiem. I znów nogi zwierzęcia grudeł w piachu po kolana i znówu kola z trudem wgrzebywały się z sygniki topieli, nie mogąc jej przebrać. Gdzieś zgrubiona w lesie odeszła *kąpieliska*, zbudowana jeszcze w wolnej Polsce przez zapomniałego kanoni-

ka sandomierskiego, pełna starych rzeźb i obrazów, grzeź z mrocznej zieleni wystrelająca brzoza jakby biała samotnica, skazana na wygnanie wśród głuchych osen, gdzieś drzewo wiekowe krzyżące legendę, opowieść o ludzich, o czymś. Gdzieś wzniesiona *kaplica kościela narodowego*.

— Kościół jak kościół — mówi woźnica — będzie stał póki nie podpadła.

Domy pod zamurszłą strzechą patrzy okrami zatłoczonemu słowem dziesiątego dnia. Ani jednego drzewa owocowego, ani skrawka zieleni, ani uśmiechu kwiatów. Wszędzie plowe ospiska piachu, jakby sucha powódź obławająca to siedzący ludzkie.

— Biedna wieś — stwierdzam, aby tylko przetrwać te bezsądzijsze ciępa.

Ludziom tutajczym nie brakuje piasku i wody, a wszystkie mają doś, a bity najwięcej... — zamisał się woźnica. Po wyrzuceniu tego żartu ujął lejca, czaił białem potrzasnę, ale poniechając zamiaru, nie chce być gwałtownym ruchem niepokoił kobyliny i po namyśle przemówił:

— Żeby tutajczym ludziom dawał najwiękze majakty, to nie pójda stad. Jak człowiek wywyższony do bity, to już będzie nie obchodzić się. I chrobać jak jest w chranie, to nie widzie do słodkiego buraka. No maluski, wio, wio — poglaskał tem słowem grzbiat koniamy. — Ino kolo zmasa, a to co wasz kraj wyprzedzi. Ino człowiek nie jest koniem i tego jest niż grymasny.

„KICHA NAWALIAA”.

Doobnelimy do celu. Wkrótce zjawilo się łobno auto, pięścielko nowocześnie, uciecha dla oczu. Kierownik biura Zwiżku Zachodniego młody poeta p. *Podstawka* oznajmia, że bityły *rosprzedane*, Humy będą na obywatelu. *Zdajmy no czas*. No to jedziemy. Zaraz, Malutka przeszkoda. Oto *kicha nawaliala*, Drobizg. Za kilka minut ruszymy. Dwa kola zapasowe z tyłu przytwierdzone nowocześnieśmiem inasłami, zamknięciem patentowym zamkiem. Żadne licha nie zdole odemknąć. Zamek polyska złołem, imadła tworoł trzymając kola gotowe do jazdy. Wszystko świetnie, wszystko nowocześnie, tylko szofer zapomniel, że, blabostki — *kluczyka*. Wiercił, borował, aż do omdlenia rak. Nie nie pomogło. Pazurami i zębami chcieliśmy rozkruszyć, rozdrapać. Daramie. Aż po półtoragodzinnej szarpalinie zmasał roztrąbać imadła i uwolniliśmy kolo. Narazicie jedziemy. *Może zdajmy*.

Nie chce tracić czasu, usiłuje ogolić sie na sucho. Twa twarz nożykiem. Wóz podskakuje i opada, jakby kola raz za razem rzucał jeden o spitzrzonę były czy glazki. Żeby zjechać za każdym uderzeniem. Au-

to przeżywa najstraszliwsze męczarnie i katuje za winy wszystkich przekleństw aut, rozbitych w piekle polskich dróg. Kawał ziemi możaby porównać do Abisynji w okresie wielkiej pory deszczowej, po której nastąpiły nagle zastupione upały.

Przeapatne wykolienie, wyrwy, a zaraz obok strażniczek białych, poczynającego, zjeżonego. Stawocze more twierdzą, że pewnie polskie gościniec czeka wielka przyszłość: tedy będą przesączone pokgreży. Gdy trumne powiozą po tych wykrętach, okrągłakach, zwałach, brulionach, nieboszczyk obłuczony na wszystkie boki, sprząkrywy sobie śmiertelną wadrowką wieknieć się, zerwie się, aby niechota pomarszczony w nieznanego miejsca wiekniętego spoczynku.

BENZNYN BRAK!

Mimo wszystko rzniemy napręd. Pan Podstawka okrucami pociego głosu opowiada o rozpedzie życia kulturalnego Lublina, o Zwiżku literatów, o urządzonych co tydzień *wieczorach dydaktycznych*, omawiających każdą głosięjszą książkę, każde żywotniejsze zagadnienie aż mnie zażród brała, gdy m pomyślał o Jrodzie podwawelskim... Gnać młodzieży literatów lubelskich objawia *próżność* twórców, niekwalujące odrebne obide, idąc własną drogą. Opowieść została urwana w polowie. Kiedyś długo śnił, że jeszcze zdaje „na czas”, auto zniechocimiał, jak zarucowien koni i ani myślało ruszyć z miejsca. Szofer opukał kola, z przejęciem spojrzal do motoru, no i wrzeszcze oznajmil z uśmiechem,

Po drodze do Lublina.

jakby kończył najkapatliwszą kawał, z którego będziemy zrywał boki.

— *Benzyjn brak*.

Nie oburzamy się, nie krzyczymy. Wszystko nam jedno. Mógł ten żarek powiedzieć do szubienicy, na której nas ma być powieszony chwile, a szubienicy i panem skutek. Biegamy po głuche, pokrzywionej wsi, wpadamy do sklepików, a ludzie na nas patrzya moczno zdumieni, jakbyśmy za marny grosz chcieli nabycy parę kilekoczek benzyny, że muszę zabrać. *Antoni Krakowicki*, smażący od czasu do czasu kateki dziennikarskie w tustym sosie sensacji, no i skłony z tego powodu do pewnej przesady, powszechnie głosi, że katolickie społeczeństwo przostąpiło mi, aby przełać do głodnego auto całą zawartość *wsi*, *zapalniczek*. Te uwalaszczające wieści muszę potłoczyć na karb wrzyś powieszanej kwietocistki dziennikarskiej, lubującej się powiększaniem faktów i ukłszaniem żalocnej rzeczywistości. No, nie

co prawdy w tem jest, ale nie tyle. Wprowadzając przedniodytmy, gdzieby można nabyć benzyny, a ci na znać, że idą z postepem, pokazywali zapalniczki w kształcie, jak gruda polskich dróg w lipcu, ale żeby przedawali, no, to nie zdarzyło się ani w jednym wypadku. Choć gdyby było można...

W końcu po gonitwach, wobec których rekordy Kusocińskiego są marnością nie godną uwagi, zdobyliśmy 1½ litra słatkowej benzyny i paląc się radością, jakbyśmy nosili w sobie nowo odkryty szymbark, napiliśmy spragnione bydło, medytując, potem z naszych czoł. Nie wiele to pomogło. Auto zaznawczy speczynku, nie chciało ruszyć. Usiłowaliśmy pełnąć jak dychawicze szkapiny. Koła chyba wmurowane. Mimo prób, zakleć, górnej przemełwy, o miłości bliźniego, o czynie samarytańskim do gapieję się gawiedzi, nikt palcem nie tknął. Zebrane gromady patrzyły otepiałym wzrokiem. Aż przecież jeden przedmówił po swemu.

— Dostę niażartlicie się mięsa, to ciaracie, my po postnych ziemniakach nie mamy siły.

Wiczeże cie Pan Jezus ma w swojej opiece za dobre słowo i niech cie opatrzy nawet całą krowa, ale pomóż.

I to zaklecie nikogo nie wzruszyło, jeno



Przeprawa promem przez rzekę.

po twarzach przemknął uśmiech. Widocznie kamienie przydrożne też się śmieją, gdy przechodnia spotka nieszczęście.

Spoćni wydarłaliśmy auto z miejsca i pomkniliśmy z rozmachem ku celowi naszymu. Koła z fantazją podskooczyły, jakby chciały wziąć brawurą przezkodę: górę zeschniętego błota i z błyskawiczną szybkością zaczęło się toczyć, aż stanęło w karuzę, którą rozwalilo, oślapiując szczere pole.

— Znowu benzyny brak. Ale duchem polece do Kraśnika i zaraz wróć. Niedaleko, tylko cztery kilometry.

Na Józefata dolinę też nie dalek. Zostaliśmy bez ciał, bez życia, jak nieboszczyk czekający na ułożenie w wygodnej trumnie. Wreszcie po iluś godzinach doholowaliśmy landare do Kraśnika i podskakując poeciecznie wszystkimi kołami po czerepnach bruku, wpadliśmy na rynek w gromady czekające na sensacje rzadko zdarzające się. Otoczyły nas wschodnie twarze, brody gładzone, plujące łuskami gryzliwych ziarenek dyni i słonecznika.

KRAŚNIK, ZNAMIENTE ONGIS MIASTO,

mające chlubną historję, obecnie w zupełnym upadku i zapomnieniu. Było ono jedną z najstarszych osad nad Wisłą, leżące na szlaku wiodącym od Krakowa do Kijowa,

spełniając ważną rolę. Przeżyło najświetniejszy okres, kiedy władał niem moźny ród *Teczyskich*. Kosiół, wzniesiony w 1468 roku, pozostający pod opieką sprostowanych z Krakowa ka. kanoników latekańskich, był w ciągu swego istnienia po wielokroć przebudowany. W grobach leżą Teczynscy, tuczeni epitafjami, nagrobkami, „monumentami ściennymi ze szwedzkiego marmuru”, głoszącymi chwale i oplakującymi napisami ich śmierć. Ongis

gród murem otoczony był warownią odpierającą wrogów i kamieniami pierościami wstrzymującą najazd, tu ongis wznosił się zamek obronny, po którym zostały piwnice pogrzebane w ziemi i klechby ludowe.

Dużo wspomnień o Kraśniku zawiera książeczka *Roberta Pragałińskiego*, który, mówiąc z zachwytem o „pięknosci i teraźniejszosci, pisze, że „opieka sanitarna nad ludnościami sprawiają dwaj lekarze oraz weterynarz”.

Stąd do Lublina już tylko kilkadziesiąt kilometrów. Czas odejtu dawno minął. Jechałszy w milczeniu, jakbyśmy zładali na własny pogrzeb. Pod ścianę, czy wóół, wszystko pal fuł. Ale po iluś godzinach zerwałem się, aby przez szybę spojrzeć, kiedy ktoś wymówił słowo:

— *Lublin*.
Patrzyłem na zarysy wież i dachów w kągle — jakby już jawię się słęskionym oczom.

JAN WIKTOR.

CZAR LUBLINA.

CZEŚĆ II.

SKARBY ARCHITEKTURY I SZTUKI

Byłem tutaj w 1916 roku, jadąc na Chelmszczyznę jako uczestnik kolumny sanitarną

tkasiny, pastorały, księgi, dary lubelskich rzeźmiśników stwarzających z oprawy srebrne klejnoty, porcelana saska, taboret króla Sobieskiego, bebnę z wyprawy wiedeckiej, dary składane biskupom, gdy w czasie dni wolnościowych obdzielali po długich latach swoje parafie, między nimi tak wzruszające wówczas podarunki z ziemi chełmskiej. A obok słuchałem szepu w sławnej zakrystii kanonickiej.

— To w tym celu zbudowano tak akustycznie — ktoś objaśnia — aby ktoś mógł posłuchiwać z drugiego rogu, gdy spowiadali się skazany.

Ktoś klaskał, aby okazać jak echo się rozbija.

Tutaj opowiadano mi o *rabunkach*, dokonanych w czasie ostatniej wojny, kiedy kościoły i dwory ogłaszano z wszelkich zabytków, kiedy oficerowie austriaccy cenno monstrancje i kielichy przepalali na biśnierzę dla żon, a kapy, ornaty, tkaniny, meble, obrazy, cały dorobek polskiego ducha zabierali do swoich krajów, aby

nieraz skolataną myśl wędrowałem po zaułkach, aby znaleźć opowieść o dawnych czasach, zgłuchłych wiekach, przemienionych, pomarłych pokoleniach. Tak często tutaj byłem, przychodząc z dalekich stron.

I snów tutaj znałem się po trytyłach, przez które przepłynęło wiele burliwych zdarzeń. Zaraz po przybyciu bieglem po uliczkach starego miasta, szukałem wspomnień, szukałem stulotki kroków ludzi, którzy tedy ze mną przechodzili, podziwianie to, cośmy zobaczyli, szukałem ich głosu, śladu ich obecności. Strudzeni odeśli. Już nie należy ich słów, nie zobacz ich twarzy, choć żyje wspomnienie ich rozmów, ich obrazu. I pytam pustych murów, dlaczego razem ze mną nie spojrzano na te zabytki, które tak bardzo ukochał. Szukam ich oczu, aby zobaczyć dawne spojrzenia pełne radości i podziwu. Jestem z nimi, ale ich niema.

Jak wędzić tak i tu widzę utrudzonego człowieka, patrzącego oślinkami suteryn,

i kamieniami opowiadają o dumie, o splendorze, o bogactwie, o dzieciach pełnych chwały. Gdzie dzisiaj cisza, tam ongiś królówle wjeżdżali w okrykach tłumów, w poszumie proporców, skrzydeł husarskich; gdzie dzisiaj pustka, tam odbywały się



Stary rynek z brama trynitarzka w Lublinie.

K. B. K. W ciągu paru dni zwiedziłem miasto, szczytynie starą dzielnicę, odgrozoną *bramą krakowską i grodzką* od życia, od sławnych zabytków, kryjących świat odrębny, szanowne zabytki, zakątki pełne oszczędliwego uroku. Błądząc wśród cianych, krętych uliczek odkrywałem coraz nowe zadziwiające skarby, ostanki dawnej świetności, pomniki chwały, wiatłów i porywów, przez przeszłość dokonaną, przez czas nadwężoną, a przez człowieka zbezczeszczone i szablone. Gdzieś, nie wiem w którym zakątku, na tylniej ścianie tuż przy ścieżce, przykuł uwagę szczerzyli obraz, po którym właściwie pozostała ciemna plama, bez oblicza, bez kształtów, a tylko czerwienił się wianuszek korali na żabonubnej szczyt świętego wizerunku. Jakby krople krwi wyliczone z nutu. Zapewne pobójne ręce zawiesiły jako votum w podzięce za doznaną łaskę. Często spotykałem ludzi i zdarzenia, jakby wspomnienia i przekaźniki mianego wiaku.

Wchodziłem na dziedzińce *klasztorów*, do *kościół* kryjących tyle zabytków, pamiętek, olbrzymi, sklepienia zmięzanych fantazji malarzka w dzieł sztuki, przeżywałych epizody świętych, ewangelij, podziwiałem rzeźby, mników, grobowce, chrześcijanie i odrzwin. Czytałem napisy epitafrum, optakujących ludzi, utrwalających pamięć ich czynów. Gdzie marmarowe *grobowce* niepowszedniej wartości zasłonięte szlacholnicznymi albo zasmarowane ciemną farbą jakby smółcem, aby w ten sposób odnowić klimki tych, którzy klali podwaliny pod światynie, lub obspływały je dobrodziesiątymi.

Zatrzałem się na długie godziny po mrocznych nawach, aby zapamiętać na zawsze to, co tutaj czas i ludzie przechowali. Wielnoście wykuci w marmurze, rycezerze z miedzi wapary na złotych tal, jakby się ielił zaraz powadzić do broni. W *skarbcu* metalatrym ornaty,



Zamek królewski w Lublinie.

były chlubą i ozdobą ich zbiorów, ich muzeów.

Z daleka wówczas spojrzalem na *zamek*, przemieniony na wieżenie i skład zboża, o czym mówily dwa napisy, dwa symbole ciężkich czasów: „*Getreidemagazin*“ i „*Feldarrest*“. A pragmatem tam iść, aby zobaczyć

gnieźdzących się w mrocznych podwórach, nie widząc nigdy błękitu, ani słońca.

MIASTO ŚWIETNEJ PRZESZŁOŚCI

Lublin, miasto tak może, królewskiemu przywilejami obdarzone, welawione *suńdą*

władzy triumfalne po zwyciężkach bitwach, festyny, zabawy królewskie. Na *te ratusza*, tak zupełnie dzisiaj zmienione, dokonywały się zdarzenia wielkiej wagi, królówle odbierali hołdy składane przez książąt pruskich, przez posłów Hohenzollernów. Miasto, będące ogniskiem handlu między Wechodem i Zachodem, na drodze od morza Czarnego do Bałtyku, pękło od bogactw, tu też kupcy i relokolizolnicy musieli dbać o splendor swych siedzib i żywot swój utrwalali, uświetniali w zabytkach, w dziełach sztuki. Nie też dzwignęło, że Lublin w XVI i XVII w., znalazł się do największych i najpiękniejszych miast polskich. Był ongiś ośrodkiem burliwego życia, ogniskiem ruchów religijnych, sporów i dysput, gdzie przeciwnicy rzucali nie słowa, ale serca gorące i ich prawdę, jak płonąciami głowiami. A dzisiaj! *Zapomnienie*, cisza. Już *Niemcewicz* zatroskana, patrzając na upadek pisał: „Tam, gdzie Zygmunt August u nog swych oddziałwał hołd książęcin pruskiego — niedra i cichość“. O tem, czemu był ten gród mój stych zachowany i historia, pamiętająca wspaniałą przeszłość, bogactwa, pałac magnackie i kupieckie domy, kwitnące dobrobytem.

PODANIA, KLECHDY

to skamienie w opowieści wspomnienia jakichś zdarzeń. A tu ich tyle rzucała przeszłość po zaułkach, że mury, kaplice, nawet rzeźby, żyją legendami. Skądś wyłania się głos, może z bruku i z dachu nam się, że to nie mowa ludzka, ale głazy ożyły i opowiadają o Chrystusie, którego rosy włosy, a obciana je biedna wdowa, aby mogła z nich utkać okrycie dla dziecka, o tym Chrystusie, który odwraca głowę od niesprawiedliwych, przekupnych szedźwi. Wielki świątce uszu słyszą słowa krzywdzonej wdowy, uwalniają we wzburzeniu: „Gdybyś mnie djabli sadzili, toby wydałi sprawiedliwy wyrok“. I wielki trykacz oczu w



Brama krakowska w Lublinie.



Brama grodzka w Lublinie.



Kościół i klasztor bernardynski w Lublinie.

odkrywane *freski z czasów Jagiellów*, o których legenda tyle mówiła.

I później błądząc po francuskich i włoskich miastach, wybiegałem nieraz myślą do Lublina, aby porównać je z tamtejnymi zabytkami, z uczuciami wzbudzonemi,

Koronę z Litwy, tak ważną rolę odegrało, kryje tyle wspomnień o ludzich, zdarzeniach, bo tutaj pisali się wspaniałe karty, to też zdaje nam się, że każdy zaułek głoścem tamtych wieków *dźwięczy*, że mury przedziwnego grodu modlą się przeszłością

dzia karety zjeżdżając o północy przed trybunał panów w kontuszach, wysiadających i idących do izby, gdzie Chrystus wiści, aby już nie w imię Jego wydać sprawiedliwy wyrok. I kamienie i ludzie tego miasta wiedzą, że to szatan wezwany przez skrzywdzoną kobietę. I od tego czasu nikt nie może zobaczyć oblicza Chrystusa. I tak będzie, aż sady poszedła się sprzedajności. Więci jeszcze, więci trwa skamieniały Chrystus z głową odwróconą od sędziów, wydających wyroki w imię Jego. Zostali stółk z odcięciem wypalonej ręki, zamiat diablakiego polubtu.

Gdzież wysiadają z płótna, z namalowanych oczu wielkie krople i spływają po twarzy. *Obrot płocze* krwawymi łzami w razie przegranego nieszczęścia miastu. I ten płacz Matki Bożej widzieli najzakończonisi meżowie, lud prosty, kapłani i służebni. A niema nikogo, który otarł żywe łzy obrzyd, płacącego niestannie.

Gdzież indziej *zakonnik zamurowany*, na kłęczkach pogrążony od wieków w modlitwie, zawsze czujny, aby chronić miasto od niebezpieczeństw i modłiwymi kłęczkami osłaniać przed ciotami. Znow tam na miejscu zburzonego kościoła żyje od tylu setek lat *sen Leszka Czarnego*, któremu ukazał się św. Michał, wręczający mu miecz, aby rozgorzał wrógów. Tu miał rósł ten *dob*, pod którym spal, a z niego jeszcze szątek ostał w katedralnym skarbcu.

SLADAMI POETOW.

Idę śladami *Kłonowicza*, któremu kochały się w duszy rysy, kiedy zdjął się z swej kamienicy do urzędu. Staje w tej izbie, gdzie *Jan Kochanowski*, uniesiony żalem, głosił mowę przed *Stefanem Batorum*, domagając się naprawienia krzywdy. I odaje mi się, że słysze Jego słowa nabrzmiałe bolelem i oburzeniem, że słysze trzask pokłoniczego serca i loskot ciała, spadającego na posadzke do stóp królewskich, jak oniamyły krzyk.

Tutaj nie nie przypomina tamtych czasów. Dzisiaj w *ratuścu*, w trybunale urzędy i

ZBIORY ŁOPACINSKIEGO.

„Nudny zdziwaczali mól książkowy — jak go złowił nazywali, ten zakonnik pracy, szalenie miłośnik miastu i jego dziejów, wyrzucił spod napisici, z grusów, z zapamiętania rekopiey, druki, księgi, dokumenty, kronikę całej lubelszczyzny i stworzył ognisko pracy, bezcenne *archiwum*. Coży zginęło po klasztorach, strybach, piwnicach, to wykupił, pazurami wydrapał i wykradł niejako historię niezwykłej ziemi, aby ją przekazać przyszłości. Te *biblioteka* jest dumą miastu. Późniejszimi danymi zoboczona przez moje rody, wzrosła do 75 tysięcy tomów, krzycząc cymelja, rekopiey, białe kraki, klejnoty, nieprzebrany materiał dla badań. Stąd czerpiąc uczeni boina rekopiey, aż trzeba przesyłać rzadkie druki i dokumenty do sławnych waszechni. Ze zbiorów korzysta młodzież uniwersytecka i książki kłoch.

— Biblioteka się zdomokratyzowała — nowi kierowniczka i strażniczka tych skarbow. — Samoucy też pracują, rzemieślnicy, robotnicy też korzystają ku oburzeniu bibliofilów, którzy uważają, że to profanacja księżek. No, bo przecież wiadomo, że wrogiem żyjącej biblioteki jest mól i bibliofil. Tu jest księżka żyjąca, a czytelnia ogniskiem.

Jakżiś zał ogarnia, że takie magnackie skarby nie mieszczą się w niszczeniu, w niedopowiedzianych warunkach. Pociągają nas, że za trzy lata ma być zbudowany *pmach dla biblioteki im. Łopacinskiego*, tej legendar-

nej postaci pracy, wysiłku i pysznych anegdod pełnych humoru.

Haniebne przerwki dokonane w ostatnim wieku, nie umiającym uszanować szarytków, zeszcpecili styl i piękno pierwotnej Lublina, jednakże nie zdołali zniszczyć *wnetru*, odrębności i czegoś niezwykłego ukrytego w zaułkach, ciasných uliczkach, zaznaczących linie dawnych murów. Został nieprzemierzony czar dawności, pozostała oszczędnie wielkość i czegoś pięknego co wzrusza i zachwyca.

Jak przed laty tak i teraz wpadłem do kościoła, aby zobaczyć pamiatki, dzieła rozrzucone po skarbcach, nawach, dzieła światła, zabityk szacowne, złożone z wartości zdarzeniami, czy znamiennymi osobami. Gdzież z portretów biskupa patra wielkimi oczami na przedmiodnia, który wszystko chce zobaczyć.

— O tam jest obraz, ale się już rozsypane, przyglądali się różni znawcy i mówili, że to jest cenne i trzeba by jakoś zabezpieczyć od tego zniszczenia, ale jakże schodzi i robactwo toczy, że aż prochno kupkami się sypie. Nie dziwoła, leży to całe lata.

Z kąta widać oczy, jakby o coś przosażę ręce wyciągnięte, jakby wolające ratunku — Były też książki, ale już nie z nich w wilgoci poniszczone.

STARE ULICE,

ZABYTKOWE DOMY I PALACE.

Uciekłem, aby bliździe po zakątkach i odkryć krawie bram, odzwia, szkary, nasady, sklepienia, napisy kute, rzeźby, kamienie przemawiające wspomnieniami. W rynku skromny napis wskazuje, że tu mieszkał i umarł *Kłonowicz-Aczynski*, autor *Płoc*. Kamienica, jedna z najwspanialszych, jej pierze dzisiaj mimo przeróbek nosi cechy pierwotnej świetności, zabytku z XVI w. budowanego z krążkami kamie wzdłuż rowem krakowackich. Boć tak często miał wpływ, zostawiający niezniszczalne ślady piękna. Gdzież w mieszkaniach znajdują się dobrze zachowane „osobliwie resztki” a kaszy inacej dużej, staroświeckie „*marurowe koninki*”. Gdzież przykuje warok sklepienia, schody, odzwia, dziedzińce, jakby przeniesiony z południa, gdzieś może staroświeckie drzwi wiodące do podziemi gotycko sklepionych, gdzie zatarty herb, 1540, napis *Jan Lubom*, ozdoba wykuta, rysa dawności, gdzieś lew zaszły na naszroniku i patrzy niepożyczeni oczami na trybunał, na rynek, który uległ tylu przemianom i przeobrażeniom, opodal wspaniały fronton *kamienicy Marystek* okazał się fantastyczny epłot girland skamieniających w baroku kwiatów, rzeźmionych na fasadzie, karjatyd, postaci rzeźbar w helmia, który ma być obliczem *Jana III*. Już po została reszta wspanialości, już czołwiec zburzył piętro, a desce i wieprz sputali, już kłoch zwały się przy widnie ozdób. A ten pałac jest osobliwoscią i sam mógłby do starszych treści do niezwykłego opowiadania, w nim bowiem przebywał *Wojciech Szwejcki*, wzięty przez *Zółkiewskiego* do niewoli, *Karol XII*, *Piotr Wielki*.

NĘDZA I HALAS

CODZIENNYCH ZDARZEN.

Iles tu było *palacowca*, należących do możnych rodów! Tam, gdzie ogień przepychy światłości, splendor, dzisiaj zniszczenia, nędza, szwargot i halas codziennych zdarzeń gniących w mroku. Pod sklepieniami składy doniozka z kwiatow, a obok kanarę w klatce żółtymi ciotami przecina ciem-

noś i zanosi się śpiewem, jakby rozrzucił promienie w perlących się nurtach. Z okna, do którego nigdy słońce nie zagląda, wychyla się dziecko, wyciągając ręce, jakby chciało chwycić okruchy dźwięków. I ten śpiew, i ten kwiat w mroku, wilgoci, wyziewach, są uśmiechami przeklętych miejsc. Dziecko zadziera głowę, pragnie wznieść się w górę, wyskoczyć, aby zobaczyć kawał nieba i mówi do głuchych ścian słowa, których nie słyszy zaśpiewany ptak. Rozbiegły się jego głosy po wszystkich schodach i piętach.

Uliczny skrzypek stanął pod filarem, nad ściekiem cuchnącym i gra na skrzyp-

cach. Zdumiony kanarek uciekł, przechyla głowę raz tak, raz inaczej i słucha. Z góry wysypuje się grosz i z dźwiękiem pada na kamienie, jakby wielka samotna liza, którą mur zapłakał.

Z żalem patrzymy na pusty plac, z którego przed kilkudziesięciu laty wystrzelał kościół św. Michała, wzniesiony przez Leszka Czarnego na pamiątkę odniesionego zwycięstwa nad Jaźwingami. Ten zabytek klejnot budownictwa znany nam tylko z rycin. Obok dochowała się plebanja, przynależna do tego kościoła. Dzisiaj na progu pod późno gotyckimi odrzwiami czarne chałaty, bo tu mieści się zarząd żydowskiej gminy. Idziemy jezdnią niemal pu-

stą, bo środkiem podąża krowa, prowadzona na postronku, a za chwilę człapie koń, ciągnąc wóz pełny słomy, którą zapchał całą przestrzeń bramy grodzkiej. Natomiast na chodnikach kłębi się i huczy miotający się gwar, wyrzucany rękami, nogami i połami rozdętych płaszców, jakby żagli szybujących po zbalwanionych morzach. W tych kamienicach ongiś moiżni członkowie palestry mieszkali, ongiś Kraśzewski w jednej z tych izb gotował się do pracownitego lotu. Tuż za bramą grodzką w kościółku św. Wojciecha długie lata mieściła się piekarnia, a na piętrze mieszkania dla szumowin. Zabytek jednakże uratowano.

JAN WIKTOR.

CZAR LUBLINA.

CZEŚĆ III.

ZAMEK KRÓLEWSKI —
WIĘZIENIEM.

Wędrowkę po starym mieście odbywalem pod przewodnictwem arch. *Siennickiego*, b. konserwatora, znającego mowę każdego kamienia, czerpiąc natchnienie z miłości do murów, zabytków i czasów minionych.

Stąd już nie daleko po zboczcy do *królewskiego zamku*, gdzie w kaplicy św. Trójcy, zbudowanej przez *Kazimierza*

Wielkiego zachowany *klejnot malarstwa* o charakterze cerkiewnobiazyński z początku XV w. wykonany kosztem *Władysława Jagiełły*.

Dzwonek. Przez uchylony otwór okno bistro ocenia przybyłych. Powołanie się na nazwisko znaczne, polecające, otwiera ciężkie drzwi. Zielone mundury, brzek kluczy, *szare aresztanckie ubrania*, drobne więziennie zdarzenia. Przez grube kraty patrzmy jakby z wielkiej klatki na dziedziniec. Z boku otwarła się furtka, wrzok nasz polecał w głab drugiego podwórza

oddziału żeńskiego. *Aresztantka* trzyma dziecko owinięte chustką, które klaszcze w dłonie, śmiejąc się, wyciąga ręce może do ptaka kwilącego na galezi, a może do słońca swobodnie spływającego w mury więzienne, a może do obłoków lecących po błękitach. Ktoś podniósł głowę i zastęgił, zagarniając głodnym wzrokiem obraz dalekiego nieba i kształty przelatujących chmur.

Zatrzaśnięta furtka zagroziła widok radującego się dziecka. Otwierają kraty, wskazują drogę. W środku dziedzińca pod



Adoracja Dzieciątka Jezus przez króla *Władysława Jagiełłę*. — Fresk z 1418 r. w kaplicy św. Trójcy na zamku w Lublinie.

drzewem pochłone szare postacie coś grzebią, kruszą, może rękami arezantczkami sieją wiosną w wietrzniu. Wśród świeżej kłapięcej zieleni, na ścieżkach wysypianych piaskiem, idą z chłopkami, robotnikami ubrań. Idą równo, po dwóch — po dwóch, w milczeniu po naznaczonej przestrzeni wśród królewskich murów. — Żywe, spętnie ruchy chwały, coś targano, łomano, twarzą zwrócić jakby zastępy w ogniu ich prędy. Spółczym egiptu śmiało patrzcie o mocnym wyrazie.

Na ten podwórzcu ogólnie rozlać się szezeć oręza, radosz wazby rykerskiej, łopaty szafarów ewangelii, kwawili się i płońa, te ścieżki deptali królowie, zdążając na nabożeństwo, może tedy szezeć Władysław Jagiello, aby podziwiać malowidła wyłaniające się spod pendzla rzuconego malarza, zmiennego prawnie ewangelii w obrazy na sklepieniu. I może w ten samien miejscu stał z zadartą głową jak my dziecim w takim samym podziwie.

MALOWIDŁA W KAPLICY SW. TRÓJCY.

Niektóre piętnastowieczne barwy, niby opowiad o śpiących rycerzach, spoczywających w kłębku, w kłębku, w kłębku, w zbiorze, przetrwała w niewoli, aby w wolnej Polsce na nowe życie wydobyla, wielką miłością i czcią dla zabytków, okazała przebiegłość i niezłomność, walczyła, walczyła, którzy twardo przychodzimy, aby wznąć w oczy piekno, a w serce wzruszenie. Stłysze urzyki ełów tak wyrażenie rozlegające się w pustce.

W tym w zamku, to najpiękniejszy i najlepiej zachowany w Lublinie zabytek z XV w. Przypadek sprawił, że oddał tryk i w ten miejscu odosłonił fragment fresku, przedstawiającego *tablicę* z napisem „Kłębko, rok 1372”. W rzeczywistości rękami ku Dzieciatki, siedzącemu na Smoleńsk. To wizerunek *Jagielly*, Malarz *Soniański* w 1889 r. przywrócił do dawnego stanu. Następnie oddano tryk i napisano dalsze freski oraz napis. Prace wstrzymano na długo, bo dopiero w 1917 r. tak zasłużony dr *Tomkiewicz* otoczył opieką zapomniany zabytek. Zrzucił prof. *Maharewicz*, a później prof. *Trójeński* zajął się jego utworem i ożywieniem malowideł i ich rekonstrukcją. Drobna, a praca odkrywcza była tak uciążliwa, że trzeba było wydrapywać obmywać. Trud się opierał, natomiast wiekami wysyleniem to malowidło, wedle przepisu greckiego rzucone na pieknie zachowaną gotycką budowlę. Od 1918 do 1926 r. trwały prace.

Chciałbym się wznieć w nadludki trud wielu dni w mórki polskich dzisiejszych malarzy, budzących do nowego życia dzieła nieznanego twórcy rukiego *Andrzeja* i wydobywających barwy, które umieraly pod tylnikiem. Nie mogę. Desena pochłonięty, nie mogę. Z czułości, wytarci, zdepanci posadzki wystarła nień smukłej kolumny, wspierającej sklepienie, zmienione w koronę czarodziejskiej palmy rozrzmęcającej galicję o przedziwnych kształtach, czesząc tym dymu malarzkiego, poczętego w religijnej ekstazie. Wzrok zniecierpliwiony przebiega od postaci do postaci, od kompozycji do kompozycji, chce odczytać symbole, wzniosłość kształtów, chce zamieszkać je i ginie zatrącony w bogactwie tego malowidła, bo wyobraźnia ścina się nieograniczona i niezgłębiona. Oczy modlą się w zachyceniu do tej modlony tylniczności. Wstrząsanie malobielstewami kolorami, spytowaniem płomieniami, ich wiza, wncierze żyje twórcami anami. Ognie apostołskie, czy duch wspaniałe! legendy czepnieć z ewangelii, wznoszą się nim na wysokości zastygły w przelocie! Postacie ewangeliczne nie tlewały w niebo, ale zamieszkały wśród barw i tak trwają na sklepieniu.

Przypominając sobie wachód, kiedyś samotnie jechał do Lublina, pomyślałem, że malarz zamurzył pendzel w przejawach światła, wykradał barwy niebu, aby je zostawił na ścianach tej niezwykłej kaplicy. — Właściwie nikt nie wie, kto malował. Bezimienny twórca *Andrzeja*. Ale to nie. Czyż to wazne! W każdej plamie, w wyrazie każdej twarzy, w zalotnie fald, w szczięciu łodyg, w weni i rozkwicie kwiatu, słyszysz to imię i wymyślamy je wstrząsem zrywanego serca. Odszedł w XV w. a my żyjemy wciąż wspomnieniem jego piekna, elastą jego uśmiechu.

— To jedyny w Europie zabytek.

— A czy jest wydatkowiec malowideł z tej kaplicy.

— Niestety, nie. Dopiero są zamierzenia, ale czy urzeczywistni się myśl Kłób wie. Brak funduszów. Ale na to powinny się znaleźć pieniądze, choć za bytek, to zdarzenie europejskie.

Dzisiaj trudno kto tu może przekroczyć próg. A jeśli wzruszeń daje królewska kaplica, na która patrzy w niedzielę spędzi wietrzniu, nie widząc zapewne barwnej ewangelii, która muru głosz. A może wiedz, i patrzy z przekleństwem, chce zbory gotyckie ściany i sklepienia, aby nie został kamień na kamieniu, odradzający się od wolności.

Ta kaplica — to pontyfikal, teatr ludzminowany w misternym religijnym w klasztorze średniowiecznym, poto, aby z niego wički się modliły.

Wynoszą stąd wspomnienie czegoś niezapomnianego, leżące białcem sercem. — Znow widzę te same szczyty, idące powojnym krokiem po dwóch — po dwóch w milczeniu, zostawiające zgarbione cienie na ścieżce wysypianym piaskiem i ślójcem. Chciałem coś rzec, ale pociągające się słowo odpada, stracone ponurym spojrzaniem tamtego wieźnia, jak kulkiem.

— Burżuje.

LUBLIN CZĘKA NA ODKRYWCĘ PIĘKNA ZABYTEKOWEGO.

Coś się w duszy kruszy i rozpada, coś zaciemnia pomazt z kaplicy królewskiej. Później znowu *wędrówka po mieście*, gdzie szukamy wzruszeń, a znajdujemy terażniejszość bezczeszczonego i cieze, więc wracamy za bramę krakowską, w kretę uliczki, zaułki starej dzielnicy, pościganoci niewypowiedzianym urlokiem, okazując wciąż nowe dzwisy i odkrycia. Wszędzie teraz towarzyszy wspomnienie wiosny zaszawanej w wietrzniu, wspomnienie szeregów arezantczki, idących powojnym krokiem i wspomnienie fresków, które umieraly, złożone pod warstwą wapna, przetrwały w zapomnieniu tak długo, aby dzisiaj spowrotem ożyć, zadziwić i zachwycić. Patrzając na fasady przbudowane, odnawiane, zniekształcone, kaniucenie, myślimy, że może pod tylnikiem kryją się zabytki, fragmenty średniowiecznej architektury; możnaż nazwać, królewskie skarby w lechmanach. Czy nasze chętałyby się zmienić w uloty, aby rozkuć, odłupnąć pokrywę, zerwać te lechmany, aby znów wyłoniła się przeszłość, upodobania ludzi możnych, dzieła twórców, myśli i natchnienia zmienione w żelazo, kamień i cegła.

Jak w ostatnim czasie wydobyla się *stary Lublin*, tak może wydobyla się do światła zeschronienia Lublin, straszący jego kształt, świadectwa dobrobytu i chwały, sponsorowane i zagubione w ospecczeniu, dokonanych przez barbarzyńskie ruce XIX w. strącającego atłaki, niszczonego piekno dawności. Rynek, kościoły, pałace, kamienice może kryją niespodzianki, mogące nas wprawić w ospecczenie, może kryją zamurzone komnaty, zachowane z pierwotnej budowli, sklepienia gotyckie, powaly renesansowe, pulapy i ka-

setony tak bogato rzezane i polichromowane, rzeźby i malowidła, zagładzane wapnem, okucia, kraty, drzwi, barwy, kominiki, przepych sztukowych ozdób, kolorne portale etc. etc.

Nauka, miłość, artyzm, pietyzm, odwagę i uratowały barwne dzwisy w kaplicy zamkowej, może ten sam pietyzm, ta sama miłość zabytków odosłoni przeszłość z XVI w. jego prawde, wyznac, świętość i starczytność.

LUBLIN ZRYWA SIĘ DO TWORZENIA ŻYCIA.

Lublin czeka na *odkrywcę* warzonego jego urodą, jego osobliwosciami, który okaże świetność budowli, świetność grodu jaka zachowała się w pergaminach i w chwale dziejowych czynnów. Lublin czeka też na swojego pisarza, któryby wyśpiewał hymn, jakim żyją kamienie, oddychające powąj średniowiecza, nową legendę, prawdę przeszłości.

Strany wiekiem i nieszczęściami nosi sławę, wspomnienia historycznych zdarzeń, zmienionych w legendę. Warto przyjąć, aby odczytać te wspomnienia i zachwycić się jego pięknościami.

Współczesny Lublin tak bujnie się rozrasta, choć srogo jest doświadczony, krzywdzony przez wladze warszawskie, podległy, tak wtrywał upodlony na każdym kroku, przy w sobie eily, zrywa się do twórczego życia, objawiającego się w pracach naukowych, w poczi, sztukach plastycznych, w budownictwie.

Stary zaś Lublin, królewski gród, wawiony wielkimi dziejami, odgrywający ważną rolę, zasłużony dla potęgi Polski, zamknięty starożytnymi bramami, odgródzony od życia, krzyjący odrębny świat w mroku ciasných uliczek, zabytki swęd świętości, czar dawności, przeywa legendę przemijonych czasów i ludzi.